

1640

ROK I. Warszawa, d. 20 Sierpnia 1918 r. ZESZYT 24.



WIARUS

PISMO DLA ŻOŁNIERZY POLSKICH
WYDAWANE PRZEZ KOMISYĘ WOJSKOWĄ.



nr. 208/01

Naród i armia.

Stworzyć armię nie tak to łatwo, jak się zdaje nieświadomym. Przedewszystkiem armia kosztuje drogo i wiele ofiar wymaga od synów narodu. Żołnierza trzeba karmić, ubierać i płacić mu żołd. Wogóle utrzymanie armii pochłania olbrzymie pieniądze. Nie każdy naród przeto może pozwolić sobie na stworzenie siły zbrojnej.

Żołnierz bez szemrania musi znosić mróz, głód i pragnienie. On nie śpi często w nocy i odpoczynku nie zna przez całe tygodnie. Mimo to każdy żołnierz zawsze powinien być gotów oddać życie za wolność ojczyzny.

Historja nas uczy, że armię mogą mieć tylko te narody, którym wystarczy siły ducha na wszelkie ofiary, związane z istnieniem armii. Narody z natury bierne, niezdolne do żadnych ofiar dla dobra ojczyzny, nigdy nie stworzą silnej armii, która mogłaby ich bronić od wrogów. Każdy naród ma taką armię, na jaką zasługuje stosownie do swoich cnót obywatelskich i zalet duchowych. Słowem — armia jest dzieckiem narodu, odzwierciadlającym najpiękniejsze jego cnoty i najgorsze wady.

Jeśli naród nie potrafi stworzyć silnej armii, zwykle zostaje łupem niezmiernie łatwym chciwych sąsiadów.

Jedne i te same narody nie jednakowem odznaczają się bohaterstwem w rozmaitych epokach. Czasami, owiane patryotyzmem, dokonywały najpiękniejszych czynów bohaterskich, stając, jak jeden mąż, do obrony ojczyzny i tworząc potężne armie. To znowu, toczone przez żywioły zepsute, upadały tak nisko, że nie można czytać ich historii bez bólu w sercu.

Polska za Jagiellonów i Polska za Sasów, to dwie epoki zupełnie różne, to dwa narody mało do siebie podobne. Ale nawet w jednej epoce, w krótkim stosunkowo odstępie czasu, narody zmieniają się nieraz wybitnie. Słowa moje potwierdzają dzieje „potopu“ szwedzkiego. Dwaj zdrajcy, dumni magnaci, prowadzą wrogów na ojczyznę. Wielcy panowie polscy chylą kornie harde karki przed batem szwedzkim. Potop zalewa całą ziemię polską. Zdawało się, że już niema ratunku. Lecz w obronie splamionego honoru narodowego stają dwaj mężowie, świecący cnotami, jak gwiazdy blaskiem na niebie. To hetman Czarniecki i książdz Kordecki. Jedna i ta sama epoka wydała Czarnieckiego i Kordeckiego, oraz Opalińskiego i Ra-

dziejowskiego, stojących na tak przeciwnych sobie biegunach. Czarnieckiego i Kordeckiego wspominamy z błogosławieństwem w duszy, bo to nasi najwięksi bohaterowie narodowi; Opalińskiego i Radziejowskiego — z przekleństwem na ustach, bo to jedni z największych zdrajców narodowych.

Gdy armia ponosi na polu walki porażki, naród zwykle szuka winowajców i gwałtownie żąda wyjaśnienia przyczyny klęsk, gdyż myśli w zaślepieniu, że winni są wodzowie lub poszczególni generałowie. Niebaczny! trzeba przyczyny szukać w samym narodzie, w jego systemie rządu, a przede wszystkim w jego stosunku do armii. Niepodobna odnosić zwycięstw z amią improwizowaną, nieposiadającą należytego przygotowania. Najlepiej chyba wiedzą o tem Anglicy po doświadczeniach wojny obecnej.

Wszystkie większe państwa europejskie zaprowadziły u siebie obowiązkową służbę wojskową, nakładając podatek krwi na każdego obywatela bez wyjątku. Jedna tylko Anglia uparcie zachowywała armię ochotniczą. Służba wojskowa jest zawodem ciężkim i niebardzo dobrze płatnym, więc też do wojska angielskiego szły pierwiastki najgorsze. Szaleństwem było z taką armią rozpoczynać wojnę i wyruszać na pole walki. Następnie Anglia w czasie pokoju miała zaledwie 6 dywizyi wojska, a więc tylko 150000 żołnierza!

Naraz z jasnego nieba uderzył piorun: wybuchła wojna między Anglią i Niemcami. Zaraz od początku wojny Anglia gwałtownie rozpoczęła tworzyć armię. W krótkim czasie zamiast 6 dywizyi posiadała do 100 dywizyi. Szlachetny patryotyzm anglików dał żołnierzy, bogactwo kraju — pieniądze, wysoki przemysł — technikę. Niestety, armia nie powstaje nagle za machnięciem czarodziejskiej laseczki; najgorętszy patryotyzm narodu, największe bogactwo kraju, najobfitsza technika doraźnie armii nie stworzą. Tutaj potrzeba długiej i wytrwałej pracy w ciągu wielu lat. Armia improwizowana nigdy nie odniesie zwycięstwa nad armią regularną. O tem Anglicy ze zdziwieniem przekonali się w r. 1916 nad rzeką Sommą. 20 batalionów angielskich zaatakowało okopy nieprzyjacielskie, bronione zaledwie przez 3 bataliony niemieckie. Anglicy górowali nad Niemcami we wszystkim: artylerya angielska zrównała z ziemią okopy niemieckie, samoloty angielskie panowały w powietrzu, zasypując Niemców deszczem pocisków. Jednak ataki piechoty angielskiej, o wiele

liczniejszej, doskonale uzbrojonej i świetnie zaopatrzonej technicznie, ale improwizowanej, miały powodzenie znikome i prędko doszły do swego kresu, bo przeciwko niej wystąpiła piechota niemiecka, słabsza ilościowo, ale lepiej przygotowana i regularniejsza. Anglicy ponieśli wówczas ogromne straty; Niemcy zaś, dzięki umiejętności, stracili w zabitych i rannych bardzo niewielu ludzi. Taki to był wynik walki dwóch armii: improwizowanej i regularnej!

Anglicy zapłacili tu drogę za swoją politykę w sprawie armii, tak wygodną w czasie pokoju, ale tak bardzo niewygodną w czasie wojny. Napróżno wyrzucili miliardy pieniędzy, napróżno ponieśli wielkie straty w ludziach. Niech więc z powodu klęsk, doznanych na polu walki w kwietniu r. 1916, nie szukają winowajców nad Sommą, lecz u siebie, w Londynie, w parlamencie, w prasie i literaturze. Niech rozłożą olbrzymi kobierce, przyniosą pęki różeg i po szlachecku wyliczą całemu narodowi angielskiemu po 100 razów, a politykom i działaczom po 1000 razów, armia jest bowiem dzieckiem swego narodu, nie zaś tworem indywidualnem!

W r. 1577 armia polska, nieliczna, ale dobrze zorganizowana, uzbrojona po europejsku i kierowana potężną dłońią dwóch wielkich i równych sobie talentem mężów, króla Batorego i hetmana Zamojskiego, rozproszyła olbrzymie, lecz kiepsko zorganizowane i nieprzygotowane do boju zastępy rosyjskie. Prawda, że armia polska składała się przeważnie z jazdy, najlepszej w Europie, jednak znajdowała się w niej i artylerya, na owe czasy potężna, i piechota, uzbrojona w broń palną i złożona z węgrod, niemców i—rzecz niesłychana dotychczas—z chłopów polskich, wybranych regularnym poborem z dóbr królewskich. O ile szlachta w bitwach w otwartem polu zbierała warzyny, o tyle chłop polski z bezprzykładną odwagą, z toporem w ręku, wdzierał się na warowne mury i zdobywał szlachectwo za rycerskie czyny. Po raz to pierwszy pokazali polacy, że nie tylko umieją pobić nieprzyjacielskie wojsko, lecz również dobrze potrafią oblegać silne twierdze według zasad sztuki wojennej. Car Iwan Groźny odrazu zrozumiał, że nie potrafi wojować z tak niebezpiecznym wrogiem; uderzył więc w pokorę i wysłał do papieża posła, który w jego imieniu zawołał:

„Wielki Popie, po trzykroć wielki Popiel! Ja, wielki, car moskiewski, padam przed tobą, na kolana i błagam cię, abys powstrzymał swego króla Stiopkę z jego armią

dyszając ogniem, jak szatani w piekle, i zabronił mu ze mną wojować“.

Stefan Batory dowiódł pierwszy tego, co potem Napoleon potwierdził, że polacy są dzielnym narodem, że trzeba tylko umieć nimi kierować. Nieszczęśliwe losy chciały, że rozumnych kierowników mieliśmy bardzo mało, a groszowych za dużo i dlatego upadliśmy politycznie. Trzeba jednak dobrze pamiętać o tem, że upaść może naród wielki, lecz zginąć tylko nikczemny: Polacy nigdy nie byli narodem nikczemnym i dlatego też nie zginęli, i nie zginą.

Adolf Małyшко.

Śmierć Dyonizego Czachowskiego.

P. Józef Męciński, zasłużony weteran walki r. 1863, który w obronie Czachowskiego stracił rękę i odniósł 14 ran, tak opisuje jego śmierć w swych niewydanych pamiętnikach.
(Przyp. Redakcyi).

...3 listopada 1863 r. — ścigani przez moskali — maszerowaliśmy ciągle z planem przedostania się w lesiste okolice Hły lub Bodzentyna. Dzień był chłodny, mglisty, chwilami mżył deszcz zimny z płatami śniegu. Ludzie zmęczeni byli tak bardzo, że ledwie utrzymać się mogli na równie zmęczonych koniach. Koło południa dostał Czachowski pewne wiadomości, że moskale w cztery oddziały, zorganizowane w Radomiu i Ostrowcu, a złożone z kawalerii i piechoty na wozach — usiłują nas obejść i otoczyć.

Czachowski więc szybko zmienił plan i postanowił powtórnie przeprowadzić się przez Wisłę z Radomskiego w Lubelskie, aby tym sposobem zniknąć z tych stron na czas jakiś.

Maszerowaliśmy do ciemnej nocy, wypoczywając kiedy niekiedy po kilkanaście minut zaledwie, żeby wzmocnić choć trochę konie i ludzi.

Wieczorem stanęliśmy we wsi Krempa, położonej może o milę od miasteczka Lipska. Zdawało się, żeśmy odbili się od moskali na pewną przestrzeń, i że będziemy mogli noc przepędzić w spokoju. Tego dnia miałem dyżur w obozie; wysłany patrol, złożony częściowo z żołnierzy i oficera naszego, częściowo z ludzi dworskich, powrócił około północy, nie nigdzie niezauważywszy.

Adolf Wink, wachmistrz szwadronowy, dziś dziewięćdziesięcioletni starzec w przytulisku dla uczestników powstania w Krakowie wielki służbista, szalonej siły i odwagi żołnierz, towarzyszył mi przy zmianie pikiet i lustracyi wśród nocy. Nad ranem zaczęli żołnierze karmić konie, wszyscy oficerowie byli na nogach.

Nagle, kiedy zaledwie zaczynało rozwidniać się na świecie, usłyszeliśmy gęste strzały. Żołnierze z pikiet od strony Lipska—co koń wyskoczy—wpadli na dziedziniec dworski, wołając: „moskale, moskale idą!“ Wszczął się alärm, ale nie było popłochu. Półtora plutonu służbowego miało konie osiodłane przez całą noc. W kilku minutach wyprowadziłem w ięć tych ludzi poza ogrodzenie folwarczne i sformowałem ich w dwa szeregi, frontem w stronę miasteczka Lipska. Inni tymczasem siodłali konie i wyjeżdżali w drugą stronę, na pole za stodołami. Pomknąłem przed siebie, aby zobaczyć jak daleko są moskale. Wnet o jakich 600—800 kroków odemnie ujrzałem dragonów w lekkim, krótkim galopie sunących polem. Tuż za nimi na drodze widać było piechotę na wozach, otoczonych kozakami z tyłu i po bokach.

Zawróciłem galopem. Z wydobytym pałaszem stanąłem przed frontem komenderując: „Baczność! Do ataku!“ Żołnierze wzięli lance do ataku. Czachowskiemu posłałem wiadomość z doniesieniem, co widziałem i co czynić zamierzam. W parę chwil zjawił się Czachowski przedemną i zapytał podniesionym głosem: „Co ty znów myślisz robić?“

— „Myślę szarżować, pułkowniku“ — odpowiedziałem. — „Nie wolno, zakazuję — rzekł Czachowski—bo na piechotę wpadniemy.“

Zaledwie to wymówił, rosyjanie rzucili się ku nam z okrzykiem: „Ura, buntowszczyki!“ Nie było już czasu przedsiębrać cokolwiek innego. Zakomenderowałem: „Naprzód za mną!“—i wnet może o jakich 150—200 kroków od miejsca, na którem staliśmy, zwarliśmy się z rosyjanami. Stary Czachowski jechał przy mnie. Paru naszych i kilku rosyjan zważyło się z koni. Nasze i dragonie szeregi złamały się i pomieszały. Walczyliśmy grupami po 2, 3, 4, ścierali się z sobą. Czachowski z zimną krwią strzelał z rewolweru do dragonów. Dostałem cięcie w głowę. Dzielny Wink rozplątał głowę jakiemuś młodemu oficerowi. Kiedy ten walił się z konia, usłyszeliśmy sygnałową trąbkę. Moskale wycofywali się z utarczki. W pełnym galopie, już nie atakując, ale opędzając się tylko, skreślił jedni na prawo, drudzy na lewo i o jakich 200 czy 300 kroków od nas zaczęli formować się szóstkami, odsłaniając nas na całym froncie; piechota, która już podeskakiwała z wozów zdążała do nas w pełnym biegu.

My natychmiast uformowaliśmy się na nowo, gdy wtem kule, przez piechotę posyłane, zaczęły już gwizdać nam gęsto nad głowami. „Na lewo w tył, — zakomenderował Czachowski — za budynki!” Spodziewał się tam zastać naszą — zresztą znacznie większą — pozostałą część oddziału, uzbrojonego w karabinki, nie w lance, której sam polecił tam się sformować. Niestety, zastaliśmy tam zaledwie 10 do 12 ludzi, reszta drapnęła haniebnie. Zobaczyliśmy tylko ogony końskie uciekinierów, zdążających galopem szeroką drogą ku Wierzchowiskom.

„Wszystko przepadło, — złamanym głosem rzekł Czachowski — marsz za nimi!”

Sformowaliśmy się szybko w jedną kwadratową prawie kolumnę, Czachowski był w środku takowej. Moskale zrobili to samo i parli ku nam. Z szeregów naszych padały wciąż strzały rewolwerowe, ilekroć rosyjanie zbliżali się na strzał ku nam. Wtedy ociągali się, zatrzymywali chwilowo i posyłali nam także kule z karabinów, ale strzelali lichy, bo, o ile widziałem, paru ludzi tylko zostało rannych. Kolumny wkrótce — nasza i moskale — z regularnych zmieniły się w rodzaj krótkich węzów. Tak ubiegliśmy może ze trzy kilometry. Nie mieliśmy już na karku piechoty, tylko kawalerię, prawda, że liczniejszą od nas, ale Czachowski łudził się nadzieją, że zdoła zatrzymać uciekinierów. W tym celu pojechał naprzód żołnierz na najlepszym koniu, jaki był w oddziale, aby dopędzić i zatrzymać uciekających. Niestety, zatrzymać się nie dali. Jakieś lichy opętało tych samych żołnierzy, którzy tylokrotnie pod tym samym Czachowskim dobrze się bili i placu dotrzymywali. Dopóki mieliśmy ładunki rewolwerowe, moskale, choć byli w przeważającej liczbie, trzymali się w przyzwoitem oddaleniu — nazwisko Czachowskiego widocznie budziło w nich respekt. Wreszcie strzały naszych zaczynały słabnąć, padały coraz rzadziej, ładunki wyczerpywały się. Asiejew, dowódca oddziału moskiewskiego, widocznie dobrze zdawał sobie sprawę ze stanu rzeczy. Chwilowo więc zwolnił trochę pościg, nie zatrzymując się jednak, i na nowo sformował dragonów w kwadratową prawie kolumnę, aby rzucić się na nas zwartą masą, sypnawszy przedtem z karabinów. Byłem przy Czachowskim, dowodząc broniącymi go. Wtem koń jego dostał silny postrzał. Zwolniliśmy biegu. Zdołałem podać mu konia, z którego tylko co spadł raniony podoficer Charczewski. W chwili, kiedy Czachowski siadał na podanego mu konia, dostał postrzał w szyję. Poczuciem honoru, choć nie nadzieją możliwości ocalenia, wiedzeni — otoczyliśmy go. Asiejew runął ku nam zwartą kolumną, złożoną może ze 100 dragonów; reszta pozostała w tyle, obiegając pole szerokiem kołem. Przy-

jeliśmy tę nawałnicę ostatkami strzałów rewolwerowych, lancami i pałaszami, czem kto mógł. Ale niezadługo — zmasakrowali nas. Wszystko to trwało parę minut. Mimo nawoływań Asiejewa: „Brat’ żywym“ (Bracie żywego) — dragoni formalnie rozsiekali Czachowskiego. Zginął więc w bitwie, nie w domu córki, jak to sobie powtarzali bohaterowie brukowi w Krakowie, czy we Lwowie.

Wiadomości z taktyki piechoty dla żołnierzy.

V.

O długości marszu i jego celu żołnierze są zwykle uwiadomiani, z wyjątkiem wypadków, gdy dowództwo uzna za potrzebne zachować te wiadomości w tajemnicy. Zależnie od powyższego oznacza się godzinę wymarszu — wcześniejszą lub późniejszą — i rozkłada się odpowiednio czas odpoczynków. Podobnie wpływa i stan pogody, tak np. marsze w czasie upalnym lata rozpoczynają się bardzo wcześnie, a to by czas najbardziej upalny, jako zbyt męczący, spędzić na odpoczynku. Odpoczynki w czasie marszu wyznacza się wtedy częściej i dłuższe. Przed wyruszeniem zaś żołnierze winni koniecznie zaopatrzyć się w wodę, gdyż pragnienie w czasie upalnym osłabia żołnierzy, a wybieganie z szeregów w czasie marszu, jako wprowadzające nieład, — jest niedozwolne. Godzi się tu jednak zaznaczyć, że żołnierz, który zwyciężył pierwsze pragnienie, wytrwalej maszeruje od kolegi opijającego się wodą co chwila.

W czasie zimy późno rozpoczynający się świt — przeszkadza zbyt wczesnemu wymarszowi, a ze względu na możliwość przeziębień i odmrożeń, odpoczynki w czasie marszu skraca się możliwie, a gdy stają się one niezbędne — przestrzega się, by żołnierze nie siadali, szczególnie zaś nie zasypiali, gdyż trwanie organizmu ludzkiego w bezruchu zmniejsza ogromnie jego odporność. Pozatem żołnierze w takich warunkach są obficie karmini.

Gdy na to położenie pozwala, dowództwo nie wzbrania palenia papierosów, rozmów, rozpięcia kołnierzy i t. p. ulg; gdy jednak wydany zostaje odpowiedni zakaz, żołnierze bezwzględnie winni stosować się doń, pomnąc, że od szczegółów nieraz zależy bezpieczeństwo całego oddziału. Zwłaszcza zaś znaczenia nabierają

te szczegóły nocą, gdy np. ogień papierosa, szczęk broni—zdradza całą kolumnę.

Marsz nocny wogóle nastęcza wiele niedogodności i dlatego jest unikany przez dowództwo; często wszakże okoliczności zmuszają do stosowania go. Unika się wtedy dróg złych—choćby krótszych—i bocznych, bo pierwsze wprowadzają nieład do kolumny, bardzo niebezpieczny nocą, a na drugich, można zabłądzić. W czasie marszu nocnego zawsze lepiej używać przewodników, nad którymi rozciąga się baczny nadzór. Gdy wolno palić latarnie, niesie się takowe na końcu każdej kompanii, by wskazywać drogę idącym z tyłu oddziałom. Przerwy pomiędzy oddziałami zmniejsza się w miarę możności i utrzymuje się ścisłą łączność przez łączników, pozostawianych parami przez oddziały maszerujące, którzy, szczególnie na rozstajach, zatrzymują się i wskazują drogę idącym z tyłu. Dłuższych odpoczynków nocą nie stosuje się, krótkie zato przedłuża się do kwadransa. W razie niespodzianego napadu—nie wolno strzelać ze względu na bezpieczeństwo własnych oddziałów. Gdy zaskoczy oddział ogień zbliżka—rzucić się należy bez zwłoki z bagnetem w rękę do ataku, gdy zaś zdala — oddział pada frontem ku stronie, skąd otrzymał ogień.

Marsz bojowy odbywa się zwykle pod osłoną odpowiednich ubezpieczeń. Im bliżej nieprzyjaciela znajdujemy się, im większe grozi oddziałowi niebezpieczeństwo — tem poważniejsze wysuwa się ubezpieczenia; nigdy jednak ilość użytych w celu powyższym ludzi nie powinna przewyższać $\frac{1}{4}$ składu oddziału. Oddział, który zbyt wielu ludzi zużyje na ubezpieczenia,—bardzo szybko wyczerpujące ludzi—osłabia się i w chwili decydującej niezdolny będzie do wypełnienia powierzonego sobie zadania, tak z powodu przemęczenia ludzi, jakoteż często i dla niemożności fizycznej zebrania ich na czas. Maszerujący oddział piechoty wysyła ubezpieczenia: wprzód—straż przednią, w strony—straże boczne i w tył—straż tylną.

W marszu na nieprzyjaciela najgłówniejsza rola przypada—strazy przedniej. Ma ona na celu usuwać przeszkody, mogące powstrzymać oddział w marszu, badać teren przed sobą i spóstrzeżenia swoje meldować dowódcy oddziału, głównie zaś w razie napadu nieprzyjacielskiego powstrzymać przeciwnika tak długo, aż oddział zdoła rozwinąć się w szyk bojowy i wejść w walkę. Widzimy więc z powyższego, jaka ogromna odpowiedzialność spada na żołnierzy, pełniących tę służbę: od ich czujności i sprężystości zależy bezpieczeństwo całego oddziału i życie wielu kolegów. Odległość, dzieląca straż przednią od oddziału ubezpieczanego, zależy całkowicie od terenu i czasu, w jakim marsz odbywa się. W terenie równym, odkrytym, gdzie wzrok sięga da-

leko,—straż przednia oddala się od oddziału na odległość skutecznego strzału karabinowego, t. j. do jednego kilometra; w terenie zaś nierównym, porośniętym lub w czasie marszu nocnego, gdy możliwe są zasadzki nieprzyjaciela, gdy tenże, korzystając z osłon naturalnych lub ciemności, może wsunąć się niespostrzeżenie między ubezpieczenie a oddział,—posuwa się straż przednia znacznie bliżej oddziału, skracając przestrzeń, dzielącą ją, do 500, a nawet 200 m. W pierwszym wypadku straż przednia posuwa się stosunkowo swobodnie, zwracając tylko baczna uwagę na otaczające ją wolne przestrzenie, w wypadku drugim — skrzętnie przepatruje każdy załom terenu i porusza się naprzód bardziej powoli. Zawsze zaś przegląda zabudowania, a jeśli zatrzymuje się, to po przejściu wsi, szczytu wzgórza, zakrętu drogi i t. p., nigdy przed niemi, a to dlatego, by mieć szersze pole do obserwacji.

Straże boczne chronią oddział od napadu ze skrzydeł. W tym celu posuwają się po obu stronach drogi marszu w odległości uwarunkowanej przez teren, starając się utrzymać na wysokości straży przedniej; na co uwagę ogromną zwrócić trzeba, gdyż, dzięki trudności marszu po bezdrożach, zazwyczaj straż boczne ustają i miast chronić oddział—wloką się prawie na tyłach kolumny, odstawiając najzupełniej skrzydła. W razie zaatakowania straży przedniej rażą one przeciwnika ogniem skrzydłowym.

Najmniej obowiązków ma straż tylna, wobec stosunkowo rzadkich wypadków zagrożenia tyłów przez nieprzyjaciela. Spełnia ona głównie służbę policyjną, dopilnowywuje by kolumna nie rozciągała się, zatrzymuje maroderów i t. p.

W razie cofania się wszystkie obowiązki straży przedniej—przechodzą na tylną. Straż przednia wówczas ma przede wszystkim na celu usuwanie przeszkód na drodze, któreby oddział mógł zatrzymać.

Przy marszu skrzydłowym, t. j. kiedy posuwamy się równolegle do nieprzyjaciela, obowiązki straży przedniej obejmuje ta straż boczna, która znajduje się od strony nieprzyjaciela.

Ubezpieczenia pełnią swą służbę, o ile przez walkę nie zostały zmuszone do połączenia się z oddziałem, aż do otrzymania rozkazu odwołującego.

D. c. n.

W. Drojowski.

W I S Ł A.

III.

Wisła, jako linia wodna, jako pierwszorzędna przeszkoda operacyjna, tem większego nabiera znaczenia, iż przyjmuje wzdłuż całego biegu wiele dopływów, z których niejeden posiada sam przez się poważne znaczenie, bądź to skutkiem swoich znaczniejszych rozmiarów, bądź też wobec swoistego charakteru wybrzeży.

Prawobrzeżne dopływy Wieprz z Tyśmienią i Bugo-Narw z Biebrzą, znaczne już swymi rozmiarami oraz błotnistym terenem dorzecza, dzięki kierunkowi swego biegu, prostopadłemu prawie do biegu Wisły, przyczyniają się do spotęgowania znaczenia wojennego tej rzeki. Teren między pomienionemi rzekami, umocniony przez odpowiednio umieszczone twierdze, stać się może potężną podstawą operacyjną na wypadek wojny. Na terenie tym znajdować się mogą wszystkie zakłady i magazyny wojskowe, na nim odbywać się może zbiórka całej armii do działań zaczepnych, względnie służyć on może za punkt oporu w działaniach obronnych.

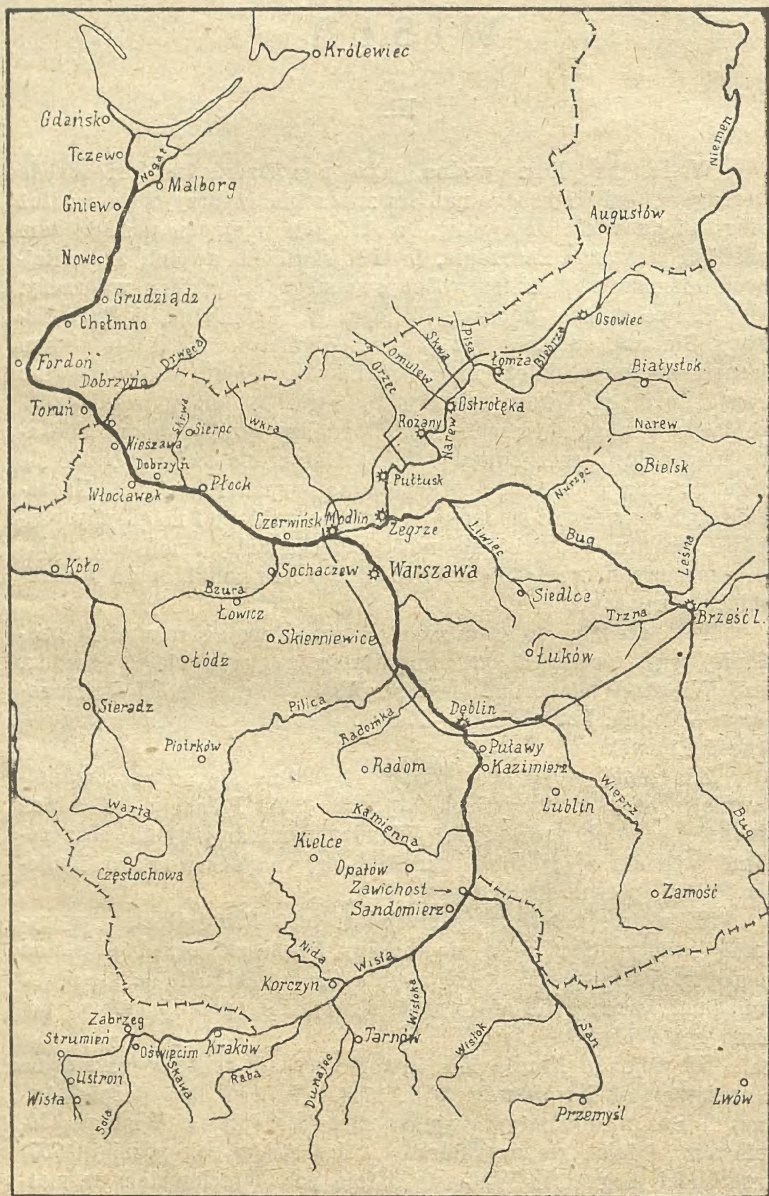
Tak zresztą do ostatnich lat przed wojną rozumiała znaczenie tego terenu Rosya, umacniając go całą siecią twierdz. Linią Wieprz-Wisła bronił Dęblin, Wisły-Warszawa, Wisły-Bugo-Narwi—Modlin, Bugo-Narwi—Zegrze, Biebrzy—Ossowiec, Bugu—Brześć Litewski.

Znaczenie wojskowe Wisły uwydatnia się od czasów najdawniejszych we wszystkich wojnach, jakie Polska na ziemiach rdzennie polskich prowadziła. Tu przypominamy tylko poszczególne wypadki z ostatnich okresów prawnopanstwowego istnienia Polski, potwierdzające powyższe.

W wojnie polsko-szwedzkiej w r. 1656 Karol Gustaw wyzykuje widły San-Wisła do obrony i ucieczki przed wojskami polsko litewskimi. W tejże wojnie Czarniecki, cofając się przed szwedami, przeprawia się wpław z wojskiem pod Płockiem, pomimo gęsto płynącej kry.

W wojnach Karola XII przeprawia się tenże w marszu na Warszawę pod Karczewem w r. 1704. W dwa lata później August II Sas z kawaleryą rosyjsko-saską przepływa Wisłę pod Józefowem, cofając się na Piotrków. Jeszcze w rok później (1707) przechodzi August II Wisłę po lodzie pod Włocławkiem w marszu na pomoc Rosyi przeciw szwedom.

Konfederaci barscy pod Mączyńskim napadają na rosyjan



pod Kalwaryą, gromią ich i gonią do Tyńca, gdzie przeprowadzają się.

W czasie wojen napoleońskich, w listopadzie 1806 r. prusacy, opuszczając Warszawę, przeprowadzają się na Pragę i palą most za sobą. Następujący na nich marszałek Davout nie zdążył im w tem przeszkodzić, korpus zaś swój przeprowadził na barkach między 3 a 8 grudnia. W drugiej połowie grudnia tegoż roku przeprowadzają się francuzi na łodziach na prawy brzeg pod Zakroczymiem i Dobrzykowem. W roku tymże, w grudniu Wisła była wolną od lodu i nie przedstawiała trudności do przeprawy. W odwrocie 1812 r. Wielka Armia przeprowadza się pod Elblągiem na lewy brzeg, prześladowana przez gen. Płatowa, traci przytem 12 armat.

Bardzo poważną rolę odegrała Wisła w walkach 1831 r. Dla nas była ona naturalną osłoną i dopiero z przeniesieniem działań całej armii rosyjskiej na brzeg lewy straciliśmy podstawę operacyjną — powstanie musiało upaść. Z pomiędzy licznych przepraw, dokonywanych przez oddziały stron obu, wyróżniła się przeprawa armii Paskiewicza pod Osiekiem w dniach 16-20 lipca tuż przy granicy pruskiej. Przeprawy dokonać można było tylko przy życzliwym współdziałaniu Prus, które pozwoliły na przewóz z Gdańska potrzebnych do przeprawy materiałów i żywności dla wojska. Armia rosyjska, po marszu z Pułtuszka do Płocka, rozpoczęła tam pozornie prace przygotowawcze do przeprawy. Wprowadziło to w błąd nasze dowództwo, które poza Płock nie stało wywiadów i pracy pod Osiekiem zupełnie nie przeszkadzało. Od 14 do 17 zbudowano 5 mostów.

Pierwszy 605 m. długi na barkach od brzegu do największej wyspy, dalej dwa mosty po 186 m.—jeden na łodziach, drugi na pontonach—do małej wysepki, wreszcie do przeciwległego lewego brzegu dwa mosty po 148 m. na pontonach. Ogólna długość mostów—1037 m. Stanowiły one jedyną linię łączności z Rosją, aż do czasu zajęcia Warszawy.

W wojnie obecnej, jeśli Wisła nie odegrała tej roli, jaką odegraćby mogła, stało się to wskutek zmiany poglądów na znaczenie strategiczne Królestwa dla państwa rosyjskiego. Zmiana ta spowodowała zniesienie twierdz, broniących linii Wisły. Wiemy jednak, że pierwsza ofenzywa niemiecko-austriacka rozbiła się o linię Wisły, że w liniach obronnych państw centralnych Wisła brana jest bardzo poważnie pod uwagę.

W. Drojowski.

Dąbrowski a my.

Wojna europejska i ciągle zmieniające się położenie polityczne sprawiły, że odrodzona dzięki Legionom polska wojskowość różne przechodziła przewroty, tak, że w końcu z trzech brygad piechoty, brygady konnicy, pułku artylerji, oddziałów pomocniczych i pociągów, zmaląła ostatecznie do siły jednej brygady piechoty, baterji armat polowych, szwadronu konnicy i pociągów. Smutne to zjawisko da się wytłómaczyć niezwykle przeczułeniem młodego polskiego żołnierza, ulegającego natchnieniom, płynącym z dobrej nawet niejednokrotnie woli, ale nie rozumiejącego istoty i znaczenia wojska dla państwa utworzyć się dopiero mającego. Żołnierz powinien trwać chociażby w najgorszych warunkach, chociażby nikły nadzieje, piętrzyły się trudności i przeciwności. Niestety, okazaliśmy się zbyt mało wytrwałymi; denerwowała nas i demoralizowała obojętność społeczeństwa i wpływy obce. I dlatego z takim trudem i poświęceniem zdobyty przez Legiony Polskie dorobek w znacznej części poszedł na marne, skazując tych, co najwytrwalej stali przy sztandarze polskiej wojskowości, na tułaczkę i niedolę.

Setna rocznica śmierci generała Jana Henryka Dąbrowskiego powinna być dla społeczeństwa i wojska polskiego nauką moralną. Gdy rozpamiętujemy dzieje twórcy Legionów Polskich, staje przed nami z granitu wykuta postać tego „Księcia niezlomnego“, który z wodzów Polski porozbiorowej najcięższe przechodził koleje, najboleśniejszych doznawał zawodów, a mimo to nie zrażał się niczem, z ufnością pracował dla wojska polskiego, nie opuszczał go nawet wtedy, gdy inni to wojsko opuścili, uważając, że już niema pola do pracy. Niema takiej chwili, niema takich położeń, gdy wolno założyć ręce. Kuć żelazo należy, póki gorące, a w gorącu należy je ustawicznie utrzymywać: od kowadła odchodzić nie wolno. Dymisyami, opuszczaniem posterunków, robotą niweczącą niezegobyśmy nie dokazali, jak tylko braku umiejętności trwania w ciężkich warunkach. Zadaniem, losem żołnierza jest spełnianie obowiązku nie tylko w warunkach sprzyjających, ale i przewycięzanie trudności w najbardziej mu wrogich chwilach.

Dąbrowski trwał nawet wtedy, gdy król Stanisław August przystąpił do Konfederacji Targowickiej. Nie opuścił on, za przykładem Kościuszki i ks. Józefa Poniatowskiego, szeregów, pozostał w nich: rozumiał bowiem, że chociaż na ojczyznę spadło największe nieszczęście, chociaż król poszedł na lep Targowicy, żołnierz winien trwać na posterunku, ażeby nie

niweczyć tej siły i podpory narodowej, jaka jest w wojsku. Widząc to wojsko, starał się Dąbrowski ratować je przed obcą przemocą, przed zakusami swoich. Nie udaje mu się to, ulega, ale rąk nie załamuje. Przeciwnie, zasiada nawet w owej smutnej pamięci Komisji Wojskowej, która, ustanowiona przez majową Konstytucję ilość wojsk, z 70 tysięcy redukuje do 15 tysięcy. Nie dba Dąbrowski o przeciwną Komisji Wojskowej opinię, pracuje w niej, chcąc—gdy nie można już całości—badać szczątki uratować. Spotyka go za to ukochanie sprawy niechęć, skreślenie z listy oficerów Madalińskiego, nazwa zdrajcy; od sądu broni go jedynie przenikliwy, rozsądny Józef Wybicki. Trzeba mieć wiele hartu i samozaparcia, ażeby wytrwać wbrew społeczeństwu. Zrehabilitowany, dzięki Wybickiemu i należytemu ocenieniu jego zdolności przez Kościuszkę, bierze Dąbrowski zaszczytny udział w powstaniu, a po jego upadku rąk nie zakłada, stara się przedostać do Francji, co mu się jednak nie udaje. W głowie roi mu się od planów, a wszystkie zmierzały do odbudowania państwa przy pomocy wojska. W lutym 1796 r. udaje się do Berlina, gdzie, przyjęty na audyencji przez króla pruskiego, poddaje mu myśl odbudowania Polski pod berłem Hohenzollernów. Gdy plan ten nie doznaje poparcia, zwraca się znowuż do Francji, której oddaje do dyspozycji Legiony Polskie z tem, że te wojska ochotnicze mają być kadrą przyszłej regularnej armii polskiej.

Wkłada w te Legiony całą duszę swoją, przepaja je najwznioślejszymi zasadami, wierzy bowiem, że tylko bagnietem i to własnym bagnietem wywalczyć można dla Polski dołę. I można sobie wyobrazić, jaką walkę wewnętrzną staczał Dąbrowski i jego legionieści, walczący niejednokrotnie z ludami, równie jak polacy nieszczęśliwymi; ale wódz Legionów umiał im wytłumaczyć, że trudno myśleć o sentymentach, gdy chodzi—o ojczyznę. W szeregach Dąbrowskiego szerzyły się dezercye, oficerowie podawali się do dymisji, gdy Napoleon zawierał dwukrotnie pokój, pomijając w zupełności sprawę polską, gdy na San Domingo siał kwiat polskiej młodzieży; on trwał i czekał...

I w roku 1806 widzimy go znowu przy boku „Boga wojny”, widzimy i częściowy tryumf jego wytrwałości: utworzenie Księstwa Warszawskiego.

I mimo, że w Księstwie niemu oddano naczelne dowództwo, ale posiadającemu mniej od Dąbrowskiego doświadczenia organizacyjnego, ks. Józefowi Poniatowskiemu, Dąbrowski, jak na prawego oficera przystało, poddaje się wyrokowi i walczy, pracując na podwładnem, niższem stanowisku. Mianowany w Królestwie Kongresowem generałem kawalerji i wojewodą usuwa

się Dąbrowski w zacisze domowe, ale nie przestaje udzielać rad i oddziaływać na młode pokolenie oficerskie, oraz wpływać na ludzi, którzy tworzyli związki patryotyczne. W ten sposób staje się Dąbrowski, zmarły na kilkanaście lat przed wybuchem powstania listopadowego, wodzem duchowym tegoż. Życie swoje poświęcił organizowaniu wojska polskiego, wiedząc, że bez niego nie ma mowy o odbudowaniu państwa; w tę pracę włożył Dąbrowski szlachetne swe serce i wiecznie pracujący mózg.

Z tego pobieżnego podkreślenia momentów z życia generała, momentów, w których tak łatwo było o załamanie wewnętrzne, rezygnację i rozpacz, czerpać powinniśmy, jak z ożywczej krynicy, zdrową myśl i naukę, że dobro ojczyzny wymaga ciągłej pracy, wojskowej, wyzbycia się sentymentów, nieoglądania się na siły obce, lecz ufności we własne, gdyż w nas jedynie leży przyszłość wojska, a więc wolnej, niepodległej Ojczyzny.

Ostrów w sierpniu 1918 r.

Wiktor Brummer.

O koniu.

II

W stajni koń spędza jeżeli nie większą część, to przynajmniej połowę swego życia; tam odpoczywa on po pracy, tam bywa karmiony, tam wreszcie nabiera nowych sił do oczekujących go trudów; ważnem jest przeto niezmiernie, aby czas ten upływał mu w spokoju i w warunkach dla zdrowia jaknajkorzystniejszych; dlatego na urządzenie i utrzymanie stajni należy baczność zwrócić uwagę. A więc stajnia powinna być zbudowana — o ile możności — w miejscu suchem, z gruntem przepuszczalnym; w przeciwnym bowiem razie mocz i nieczystości, zatrzymane na powierzchni ziemi, gniją, wydzielając nieprzyjemną woń i gazy dla zdrowia szkodliwe.

Stajnia powinna być natyle obszerna, aby koń mógł się w niej swobodnie położyć, przytem — widną i przewiewną, ale bez przeciągów, które szkodliwie wpływają na zdrowie, zwłaszcza gdy koń jest spocony. Następnie stajnia powinna być umiarkowanie ciepłą w zimie, a chłodną w lecie; z tego powodu nie może być wystawiona na zbyt silne działanie promieni słonecznych, które w dodatku niemile rażą wzrok zwierzęcia. Ważnem jest bardzo urządzenie podłogi, która nie powinna być ani za miękką, bo wtedy będzie nietrwała, ani też za twardą, bo wówczas jest niewygodną i zimną. Najodpowiedniejszą byłaby podłoga z gliny ubitej, jak np. boisko w stodole. Podłoga musi być

urządzona cokolwiek pochyło od przodu ku tyłowi z poprzecznym rowkiem na końcu dla stoku nieczystości. Stajnię należy zawsze utrzymywać w czystości. Nawóz i mocz powinno się niezwłocznie usuwać, a podłogę posypywać wilgotnym piaskiem. Ściany, słupy, żłoby i drabiny powinny być od czasu do czasu bielone, przez co zapobiega się rozmnażaniu zarazków chorób zakaźnych, oraz odświeża powietrze, co czyni pobyt i spoczynek konia przyjemniejszym i zdrowszym. Wybór i ilości paszy, potrzebnej do należytego wyżywienia konia, zależne są w zupełności od ogólnych i miejscowych warunków; że zaś takowe obecnie, jak wiadomo, znajdują się w stanie mocno opłakany, przeto nie można ludzi się, aby jakiegokolwiek wskazówki osiągnęły tutaj cel pożądaný. Istnieją jednak zasady ogólne, które zawsze i wszędzie zastosować można i trzeba. Przedewszystkiem więc pamiętać należy, że koń wymaga nie tylko pożywnego pokarmu w małej ilości, ale i mniej pożywnego o odpowiedniej objętości. Gdyby np. karmić konia wyłącznie owsem i dawać mu go tyle, ile sam zechce, to koń schudnie i wkrótce straci apetyt, — chociaż owies należy do paszy najpożywniejszej; koniecznem jest przeto jednocześnie karmienie konia słomą lub sianem, które, jakkolwiek daleko mniej posilne, objętością swoją wypełnią obszerny żołądek koński i w ten sposób nasycą go. Pasza powinna być świeżą, niespleśniałą i niestęchlą. Lepiej jest z wyznaczonej racyi dziennej odrzucić część siana spleśniałego i w ten sposób niedokarmić nawet konia, niż dać mu pokarm zepsuty, od którego łatwo może zachorować. Nigdy nie należy karmić konia zaraz po powrocie z dłuższej jazdy lub ciężkiej pracy. Koń głodny rzuci się na pokarm łapczywie i połyka, nie przeżuwać należy, duże ilości, poczem bardzo często zapada na ciężkie, a nieraz i śmiertelne zaburzenia żołądkowe. Koniowi zmęczonemu należy tedy dać czas jakiś odpocząć, przeprowadzając go wolno przed stajnię, poczem zarzucić mu trochę siana, a następnie dopiero obrok. To samo stosuje się i do pojenia. Spocyny koń ma pragnienie bardzo silne i wypija od razu dużą ilość wody, która gwałtownie ochładza ciało, co często bywa przyczyną wielu chorób. Napoić konia czystą i niezbyt zimną wodą można dopiero po godzinnym odpoczynku i po nakarmieniu go nieznaną ilością siana. Zwykle poi się konie dwa razy dziennie zimową porą i 3—4 razy w lecie podczas upałów. Gdy już mowa o wodzie, to wspomnę o kąpaniu koni. Pławienie od czasu do czasu w czystej i o ile możności bieżącej wodzie jest bardzo pożyteczne, gdyż odświeża organizm koński i oczyszcza skórę od brudu i pyłu. Nie jest to jednak właściwy sposób utrzymania czystości, gdyż pielęgnowanie skóry przeprowadza się

przez dokładne codzienne czyszczenie. Ten zabieg posiada dla zdrowia konia pierwszorzędne znaczenie i dlatego szerzej o nim pomówię.

Każde żyjące zwierzę, tak samo jak i człowiek, aby żyć, musi oddychać. Oddychanie skutecznia się nie tylko za pomocą płuc, ale również i przez skórę, w której znajduje się mnóstwo małych otworów, zwanych porami. Gdy te kanaliki są próżne, to powietrze łatwo w nie wchodzi i dostaje się do krwi; gdy natomiast skórę pokrywa brud i pył, wtedy powstaje na niej rodzaj korka, który zatyka szczelnie otworki kanalików i uniemożliwia wchłanianie powietrza. Na zatkanie otworów najczęściej narażony jest koń, gdyż musi on pracować wśród pyłu i brudu, który zmieszany z potem pokrywa całą skórę klejową, twardą skorupą. Sam koń nie ma możliwości usunąć brudu ze skóry, musi mu w tym dopomóc litościwa ręka. Samo czyszczenie odbywa się za pomocą szczotki i zgrzebła, które służy więcej do wyczesania brudu ze szczotki, niż do czyszczenia i dotyka się skóry tylko w wyjątkowych wypadkach dla usunięcia grubszej warstwy błota, strupków it.d. Używania zgrzebła powinno się o ile możliwości unikać, gdyż ostre, żelazne zęby drażnią, a często i ranią skórę, co jest dla konia nie tylko nie miłe, ale nawet szkodliwe. Ujawszy więc szczotkę w prawą rękę, a zgrzebło w lewą, z rozmachem pocieramy pod włos skórę konia. Co kilka chwil szczotkę wyczesujemy o zgrzebło, na którym pozostaje brud i kurz. Co jakiś czas uderzamy zgrzebłem o twardy przedmiot na ziemi lub podłodze, aby strząsnąć brud i pył — nigdy nie należy czynności tej wykonywać wysoko, np. uderzać o żłób, lecz tylko nisko i ostrożnie, aby pył nie rozchodził się i nie osiadał napowrót na koniu. Wogóle czyszczenie o ile możliwości powinno odbywać się nie w stajni, lecz na świeżem powietrzu. Bywają konie tak łechczywe, że czyścić się nie pozwalają; do takiego konia należy przystępować łagodnie, nigdy nie bić go i nie szarpać, jak to nieraz czynią zli ludzie, lecz zachęcić go głosem, pogłaskać i uspokoić, a samo czyszczenie wykonywać powoli i lekko, oszczędzając trochę najbardziej czułych miejsc. Takie postępowanie przyzwyczajają konia do szczotki, to też każde następne czyszczenie przyjmuje on z coraz większym zaufaniem i spokojem. Konia należy uważać za oczyszczonego porządnie wtedy, gdy na sierści nie ma pyłu i łupieżu, a skóra po pogłaskaniu ręką pod włos jest zupełnie gładka i czysta. Konie robocze zwykle czyści się najmniej raz na dzień — rano. Gdy koń powróci od pracy należy go zaraz wytrzeć z potu kawałkiem sukna lub wiechciem ze słomy, a dopiero wtedy gdy wyschnie — oczyścić. Konie wojskowe kawaleryjskie czyści

się zwykle w miarę możności dwa razy dziennie. Dokładne czyszczenie oprócz ułatwienia oddychania ma na celu niedopuszczenie zagnieżdżenia się na skórze robaczków — kleszczy, które wywołują parchy. Przy dokładnem czyszczeniu i pielęgnowaniu skóry parchy są u konia niemal że wykluczone, gdyż kleszcze, gdyby nawet zdołały dostać się na skórę, zawsze usuwane są stamtąd w porę, podczas czyszczenia.

J. Malewski.

D. c. n.

Feliks Szukiewicz: Na pograniczu Litwy.

Urywek z pamiętnika.

I

Stojąc na środku obozowiska, kierowałem ćwiczeniami, które Gołębiowski i Kowalewski, dwaj podoficerowie wojska rosyjskiego, w szeregach powstańczych podniesieni do rangi oficerskiej, odbywali, jeden z oddziałem strzelców, drugi z liczniejszym trochę zastępem kosynierów. O ile nazwa tych ostatnich odpowiadała rzeczywistości, bo każdy z nich trzymał mocno w chłopskiej garści drążek z osadzoną na sztorc kosą, o tyle oddział strzelców mógłby nosić raczej miano bractwa strzeleckiej graciarni, tyle tam było okazów broni, nadających się do magazynu osobliwości. Oprócz kilku ciężkich, skałkowych karabinów, porzuconych prawdopodobnie przez uchodzących w 12-tym roku nauczów, a teraz wydobytych z kryjówek, były tam strzelty wszelkiego rodzaju, od przepyszynej dźwirowanej dubeltówki począwszy, a kończąc na odrutowanej i szpagatem powiązanej rusznicy, która o dziwo, w rękach swego właściciela, starego kłusownika, była najcenniejszą bronią. Ba, znalazł się nawet garłacz, pamiętający chyba szwedzkie wojny.

Jeżeli uzbrojenie oddziału szwankowało nadmierną, skądinąd szanowną, lecz w tym wypadku zbytęcną starością, to za to żołnierz, od samego dowódcy, tj. odemnie począwszy, był rozpaczliwie młody. Z wyjątkiem wymienionych już, Gołębiowskiego i Kowalewskiego, oraz kilku ludzi nieokreślonego wieku, oddział składał się z samej młodzi. Parobczaki z okolicznych wiosek, służba pokojowa i folwarczna pobliskich dworów, wszystkie niespokojne duchy w kilkomiłowym promieniu i wreszcie wszyscy ci, którzy z jakichkolwiek bądź powodów nie życzyli sobie spotkania z władzami, stawili się na wieść o nowoformującym się oddziale, wiedzeni nietyle może miłością ojczyzny, ile bujną fantazyą i nadzieją rychłych i oczywiście zwycięskich walk z serdecznie znienawidzonym wrogiem.

Lecz tu spotykał ich srogj zawód. Zamiast — jak to sobie ten i ów wyobrażał — łatwego polowania na „mochów“, trzeba było ćwiczyć się w musztrze, trzymać się na pikietach, często niedojeść, niedospać i spełniać arcyprozaiczne roboty obozowe, słowem, trzeba było ugiąć karku pod twardą dyscypliną wojskową. A jednak pomimo tego, pomimo łatwości ucieczki ze 150 ludzi miałem tylko dwa wypadki dezercyi, zwanej w powstaniu pospolicie „uciekinierstwem“. Nie pojmuję teraz, skąd zdobyłem wtedy tyle umiejętności i energii, ażeby poskromić niesforne żywioły i utrzymać je w karbach posłuszeństwa. Sam, liczący zaledwie dwadzieścia parę lat, wychowanek konstantynowskiej szkoły wojskowej w Petersburgu, opuściłem przy pierwszej nadarzającej się sposobności swoją baterię, stojącą załogą w Dęblinie, i przez Warszawę podążyłem w Augustowskie, ażeby wstąpić w szeregi powstańcze. Krótko mówiąc, zdezerterowałem z wojska rosyjskiego i przez to spaliłem za sobą mosty.

Pierwszych parę miesięcy należałem do oddziału Wawra i dzieliłem jego dobre i złe losy; lecz kiedy postanowiono utworzyć w Augustowskim szósty oddział powstańczy, mnie zlecono uformować go, a następnie nim dowodzić. Myśl powiększenia liczby oddziałów wyszła od naczelnika siły zbrojnej całego województwa, pułkownika Andruszkiewicza. On też obrał okolicę, gdzie miał się organizować nowy oddział i obrał z wielu względów niezbyt fortunnie, bo w wąskiej szyi, jaką północna część Królestwa tworzy pomiędzy granicami Litwy i Prus, w pobliżu miasteczka Rajgrodu, gdzie stał dość silny moskiewski garnizon. Zato miejsce, wyznaczone na obozowisko, do którego mieli ściągąć nowozaciężni, gdzie możnaby było jakiś czas gromadzić materiały w ludziach, broni i odzieży, nie pozostawiało nic do życzenia.

Była to śród głuchej puszczy, ciągnącej się z małemi przerwami hen, aż po Niemen, na nieznacznem wzniesieniu, dość obszerna, sucha polana, u której jednego brzegu przewijał się, nakryty prawie siwymi mchami, ruczajek niecuchnącej bagnem wody — rzecz w onych borach dość rzadka. Na przestrzeni paru wiorst dokoła otaczała ją taka gmatwanina zawałów, wykrotów i nadzwyczaj gęsto rosnących chojaków, że przedrzeć się przez nią bez torowania sobie drogi siekierą nie było prawie sposobu. Broniona takim wałem polana, będąca niegdyś niezawodnie pasieką, o czem świadczyły porozrzucone po niej tu i owdzie resztki starych uli, była istną twierdzą, lecz zarazem i więzieniem. Dostanie się na nią i odejście z niej łączyło się z pewnemi trudnościami. Prowadziły do niej bowiem tylko dwie, tako siako przetrzebione, drożyny: pierwsza od chaty leśnego Michała Kar-

powiecza, w której czasowo rezydował pułkownik Andruszkiewicz, pragnący być w pobliżu formującego się oddziału, i ta była w codziennem użyciu; druga szła gdzieś wgląd puszczy i tamtędy nigdy nikt nie chodził. Obie zaś tak zazdrośnie puszcza kryła w swoim wnętrzu, tyle chojaków, suszaru i olbrzymich paproci maskowało ich początek, że trzeba było dłuższego przyzwyczajenia, ażeby odrazu trafić na nie.

Stojąc na środku obozowiska i dając od czasu do czasu potrzebne wskazówki, przyglądałem się ćwiczeniom moich chłopców i stwierdzałem z pewną dumą, że wiara doszła już do nie-małej sprawności w maszerowaniu, obrotach, tyralierce, celowaniu z pozycji leżącej, słowem w ćwiczeniach tak napozór łatwych, a jednak wymagających dość długiego trenowania. Postęp byłby jeszcze znacznie szybszy, żeby nie ta okoliczność, że prawie codziennie do obozu przybywali nowi ochotnicy, z którymi trzeba było zaczynać od początku.

Weczesny majowy ranek był bajecznie piękny. Słońce stało już wysoko i wierzchołki odwiecznych drzew kąpały się w jego blaskach, lecz tu, na polanie i w otaczających ją chaszczach, snuły się jeszcze nocne cienie, kryjąc się przed światłem pod zwisające aż do ziemi gałęzie omszałych jodeł. Nad polaną przełatywał czasem bocian, powracający z żerowiska, lub zaszumiał lot stada dzikich gołębi albo ptaków. Skądciś, z bardzo daleka, echo leśne przynosiło przeciągłą, tęskną nutę zawodzenia, a w pobliżu kowal-dzieciół pukał w dziuplaty pień drzewa i kukulka zanosila się chichotem. Puszcza dyszała bujnem, krzepkiem życiem. Balsamiczna woń żywicy unosiła się w powietrzu. Piers chwytala chciwie ożywcze tchnienie wiosny. Człowiek czuł się dziwnie lekkim. Myśl roiła przyszłość pełną chwały.

Wtem z gąszcza, maskującego wejście na drożynę, wysunęła się dobrze znana w obozie postać wyrostka Józka, syna leśnego Karpowicza, rodzaj ordynansa przy Andruszkiewiczzu do spełniania drobnych posług. Chłopak zdrowy, silny jak dębeczak, a sprytny, potrafiący sobie radzić, jak każdy wychowanek puszczy, gwałtownie rwał się do oddziału, lecz dla zbyt młodego wieku przyjętym być nie mógł. Wynagradzając to sobie, często pod rozmaitymi pozorami przychodził do obozu i z zazdrością widział, jak jego swojacy dumnie nieśli głowy jako żołnierze. Zwykle potulnie prosił o pozwolenie zabawienia w obozie „z godzinkę“, lecz tym razem szedł prosto ku mnie z gęstą miną i zbliżywszy się o kilka kroków, zdjął czapkę, wyprostował się jak struna i głosem, któremu usiłował nadać brzmienie męskie, wyrecytował jednym tchem.

ŻYCIE ŻOŁNIERSKIE.

Likwidacja obozu w Łomży.

Z obozu w Łomży, w którym mieścili się przeniesieni ze Szczypiorna legionści b. I bryg., 620 internowanych oświadczyło gotowość wstąpienia do pierwszej brygady Wojska Polskiego i w tych dniach zostali przewiezieni do brygady w Ostrowiu.

Pomniki Kościuszki.

Sprawą wzniesienia pomnika Kościuszki w Otwocku zainteresowały się niektóre inne miasta, które obecnie zwracają się do komitetu w Otwocku o informacje. Między innemi zapytanie takie wystosował Radzymin.

Tablica pamiątkowa Dąbrowskiego w Medyolanie.

W pierwszych dniach września zostanie odsłonięta ku uczczeniu stulecia Henryka Dąbrowskiego tablica pamiątkowa w Medyolanie na domu przy ulicy Agnello, gdzie znajdowała się kwatera wodza, z której powołał pod broń polskie legiony. Tablica ta, która na obczyźnie przypominać będzie imię polskiego bohatera, powstaje z inicjatywy Jana Pietrzyckiego, a przy poparciu sprawy przez mieszkającą stale w Medyolanie p. Wandę hr. Stadnicką i prof. uniwersytetu d-ra Armada Corsiniego. Wykonanie tablicy powierzono artyście-rzeźbiarzowi C. Bianchiniemu.

Z procesu przeciwko b. Polskiemu Korpusowi Posiłkowemu w Marmarosz Sziget.

Zakończono już przesłuchiwanie wszystkich oskarżonych w procesie. W 39-yim dniu rozprawy sądowej zeznawał sierżant Pacześniak z 2 pp., wzięty do niewoli w zbrojnym starciu pod Kaniowem.

Bawił w Marmarosz Sziget delegat węgierskiego rządu wraz ze swym adjutantem w celu sprawdzenia wszystkich skarg podniesionych przez przedstawicieli prasy polskiej.

Na trzech posiedzeniach sądowych obecni byli dr Henryk Sawczyński i Adam Schneider, delegaci lwowskiej rady miejskiej, którzy złożyli również wizyty gen. Zygmuntowi Zielińskiemu i pułkownikowi Rogalskiemu.

109-ta rocznica śmierci pułkownika Berka Joselewicza.

Dnia 22 maja odbył się w sali Filharmonii w Warszawie uroczysty obchód ku czci pułkownika Wojska Polskiego Berka Joselewicza, poległego pod Kockiem 22 maja 1809 roku. Był to żołnierz Kościuszki, potem legionista Dąbrowskiego. Świetną charakterystykę tego żyda-pratryoty polskiego dał p. Belmont w dłuższym odczycie. Deklamacja i śpiewy, związane z tem epoki—między innemi koncert Jankla z „Pana Tadeusza”—uzupełniły program uroczystego wieczoru.

Zakaz noszenia w Krakowie odznak legionowych.

Jak donoszą pisma krakowskie, miejscowa komenda wojskowa zakazała wszystkim przynależnym do c. i k. armii noszenia na mundurze guzików z orłem białym, legionowych odznak brygadowych i pułkowych, odznak z obozów internowanych, oraz wszystkich, przez austriacki zarząd wojskowy niewprowadzonych, odznak legionowych.

Ostrów w sierpniu.

Jeszcze w roku przeszłym, widząc, że wielu rekrutów nie umie zupełnie czytać, ani pisać, zakrzętnąłem się około założenia szkoły dla analfabetów, w której mógłby się żołnierz nauczyć czytać i pisać, co by mu się przydało nawet po wystąpieniu z wojska. Pojechałem więc do Warszawy, chcąc zakupić trochę książek i kajetów; tam jednak od p. puł. Berbeckiego dowiedziałem się, że w Komisji Wojskowej wszystkie te przedmioty można dostać, a zarazem poinformować się, jak się do zorganizowania takiej szkoły zabrać. Trzeba się tylko zwrócić do Uniwersytetu żołnierskiego i rzecz przedstawić jak się patrzy.

Uczyniłem tak, jak mi poradził pułk. Berbecki. W Komisji Wojskowej ppor. Dąbrowski jakby czekał na mnie: dostałem kilka podręczników na początek, sporo zeszytów i przyborów piśmiennych — wszystko bezpłatnie — i rad kilka, bardzo pożytecznych, jak się takie rzeczy organizuje. Z taką zdobyczą powróciłem do Ostrowia, szkoły jednakże z powodu swego wyjazdu na urlop nie otworzyłem; nie otworzył jej także ppor. Zawadzki, przydzielony obecnie do szkoły podchor., który po moim wyjeździe sprawą tą się zajął, ale do końca jej nie doprowadził. Więc szkoła czekała. Dopiero por. Dorobczyński, jeden z pierwszych co z Benjaminowa zgłosili się do Woj. Pol., dobrawszy sobie pomocnika w osobie podchor. Lenartus-Paprockiego, gorąco się zajął szkołą analfabetów i, zorganizowawszy ją, postawił na odpowiedniej wysokości. Szkoła na początku swego istnienia nazywała się „kursem dla analf. III baonu rekruckiego“, później — przyjęła pod swój dach uczniów z II baonu rek., — dziś zaś nazywa się „Uniwersytetem żołnierskim 2 p. p.“ Zmiany w nazwie były jednocześnie etapami w rozwoju szkoły. Dziś uniwersytet żoł. dzieli się na dwie klasy: I, niższą, prowadzi podchor. Lenartus-Paprocki — i II, wyższą, por. Dorobczyński, który jest jednocześnie, jak to już wyżej zaznaczyłem, kierownikiem uniwersytetu żoł. Poza nauką czytania, pisania, gramatyki i arytmetyki uczą się także żoł. geografii i historii polskiej. Do szkoły uczęszcza 64 żołnierzy. Uniwersytet otoczony jest opieką Komisji Wojskowej i p. majora Zarzyckiego, dowódcy 2 p. p. W najbliższym czasie odbyć się mają egzaminy.

W czerwcu r. b., gdy nadeszła 100 letnia rocznica śmierci gen. Dąbrowskiego, z inicjatywy Uniwersytetu żoł. wykładowcy — tak ofi-

cerowie, jak i szeregowi — wygłosili odczyty we wszystkich komp. 2. p. p. o tem, kim był, jak żył i co zdziałał gen. Dąbrowski. Dla oficerów w kasynie of. wypowiedział dobrze opracowany i ładnie napisany odczyt na ten sam temat chor. Iwanowski.

I rzec by można, że duch generała w dniu tym zapanował wszechwładnie nad obozem w Ostrowiu, że przenikał do duszy każdego i pytał, pytał uparcie, czy wszyscy są tak, jak On bezinteresowni i wytrwale Polsce służą, czy gotowi iść aż do końca swego życia po tej ścieżce, na jaką weszli, ofiarując się służyć — jako żołnierze polscy — Polsce.

A ta droga, którą szedł generał w swej służbie ojczyźnie, tak jest podobną do tej, jaką od lat czterech idzie żołnierz polski obecnie. Tak samo nie kwiecieniem, lecz cierniem wysłana była, tak samo nie jeden kamień, często bratnią rzucony dłonią, stopy krwawił. Podobne zawody siły niweczą i nadzieje podobne, a wokół taki sam brak serca i zrozumienia.

K. Wiśniewski

Żołnierze czy mordercy?

Do jakich wstrętnych czynów jest zdolny b. rosyjski żołnierz, świadczy o tem opis ohydneho morderstwa, spełnionego przez bandę opryszków pod Rohaczewem w Tychyniczach, gdzie miał kwaterę polski szpital wojskowy i dywizyi strzelców polskich.

Dnia 12 lutego bolszewicy otoczyli szpital, ustawili naprzeciwko wejścia karabin maszynowy i kazali personelowi wychodzić, grożąc, że budynek spalą. Wychodzili kolejno: lekarz, dr. Mroczek, gospodarz szpitala, kapitan Stiller, kilka siostr-sanitariuszek. Strzały zagrzmiały, ofiary dzikiej przemocy padły jedna za drugą. Bolszewicy rozgrabili całe mienie szpitala, zabrali 10,000 rb., stanowiące własność Czerwonego Krzyża, i pieniądze prywatne, znalezione przy ofiarach napadu.

SPIS TREŚCI: Adolf Małyszko: Naród a wojsko. — Śmierć Dyonizego Czachowskiego. — W. Drojowski: Wiadomości z taktyki. Tenże: Wiśła. — Wiktor Brummer: Dąbrowski a my. — J. Małewski: O koniu. — Feliks Szukiewicz: Na pograniczu Litwy. — Życie żołnierskie: Likwidacya obozu w Łomży. Pomniki Kościuszki. Tablica pamiątkowa Dąbrowskiego w Medyolanie. Z procesu przeciwko b. Polskiemu Korpusowi Posiłkowemu w Marmarosze Sziget. 109-ta rocznica śmierci pułkownika Berka Joselewicza. Zakaz noszenia w Krakowie odznak legionowych. K. Wiśniewski. Ostrów w Sierpniu. Żołnierze czy mordercy.

**Przedruk artykułów dozwolony
za dokładnem podaniem źródła.**

Redaktor Dr. **WAĆLAW TOKARZ.**

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung Warschau 22.VIII 1918

Druk L. Billińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.